ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 8 lipca 1922 roku. № 27.

Juljusz German. Powieść.

27) TWARZ Z ZA KURTYNY.

— Nie będziesz więcej pił! Co sobie pan Bronicz pomyśli!

— O to nie martw się, lubko. On musi myśleć o mnie dobrze. Jemu inaczej nie wolno. Niech pan powie...

— Ma pan słuszność — rzekł Bronicz z kamienną powagą w głosie. — I żal mi, że myliłem się w sądzie o panu. W panu jest w głębi kruszec, nie szych.

— Dopatrzył się! A widzisz, Mela! I nie powiedział tego ze strachu. Wiem. Inni się boją. Ci, którzy na balach gonią za tobą wzrokiem, wżerającym się, jak wilcze kły. Nie wilcze, psie. Kąsające tchórzliwie. Tylko, jak taki pies się wścieknie... Wilki, pamiętasz, wilki w białej nocy? O życie szło! Byłabyś rozszarpana na miazgę, ty urodna. Anim razu nie chybił. O, wiszą tu na ścianie moje wierne strzelby. Nabite...

Padło ku Broniczowi spojrzenie prawie martwe, którego światło nagle zwróciło się wewnątrz.

Kobieta uniosła się wpół, zbladła obłąkańczym lękiem. Wydało się, że chce rzucić się do Bronicza, zasłonić go sobą, na wszystko niepomna.

Ten strząsał starannie popiół z papierosa o szklanną podstawkę, bystro, spokojnie obojgu patrząc w twarze.

— Chwat — mruknął cicho Podolanin. Skurczył się, zagłębił w fotelu, przechyloną głowę wsparł na zwartej w pięść dłoni.

— Nie zabiłem nigdy człowieka — rzekł, jakby w sennej, ciężkiej zadumie. — Gdym był młody, głupszy byłem, czy tam lepszy. A teraz w ciągłym boju o te pieniądze drańskie, próchnem obrosłem. Spodlałem —szepnął w przerażającem pytaniu, które w rozpaczy nie żądało już odpowiedzi.

— Nie! — zabrzmiał nieugiętą stanowczością jasny głos Bronicza. —Pan cierpi szlachetnie. Pan tylko zmęczony. Jak człowiek ranny... I, wierząc w tę szlachetność, proszę: niech pan pamięta, że obok nas drży kobieta.

Henryk zerwał się z miejsca, zmiął w dłoniach klapy surduta. Turkusowe połyski w jego źrenicach zjaśniały czystą ostrością. W rozlanej twarzy odęcie magnackiego grymasu stężało w uśmiech prawdziwie wytworny. Wytrzeźwiał zupełnie w jednej chwili. Schylił głowę w krótkim ukłonie.

— Dziękuję panu. Wyjdź na sekundę, Mela. I, bądź najspokojniejsza—dodał z ujmującą łagodnością.

Gdy tylko drzwi za nią się zamknęły, zaczął mówić wolno i dobitnie:

— Tych kilka słów zostanie na zawsze między nami dwoma.

— Cieszy mnie to żądanie. Że będzie spełnione, zaręczam.

— Gdym pana dziś zobaczył, wybuchło to, co zbierało się oddawna. Nienawiść mordercza. Były okruchy momentów, że chciałem pana zabić.

— Wiem o tem.

Stali naprzeciw siebie, jak z kamienia wykuci.

— Nie mogłem. Ale o moim zamiarze będzie pan pamiętał na wieczność.

— Nie zapomnę.

— Nie na wszystko wystarczą słowa. Myśmy już raz rozmawiali oczami. I zrozumieliśmy się. Rzeczy niedomówionych dotknę raz pierwszy i ostatni. Powinienem przeciąć, rozkrajać do żywego ten splot, który nas omotał. Wtedy ona precz odemnie, na bruk. Nie przetnę splotu. Rozumiem ją, jak nikt. Lecz to nie wszystko. Stać mnie na to, bym dno duszy odsłonił. Bez Meli czeka mnie szaleństwo. Bez jej wdzięcznej obecności nie umiałbym żyć. A ja chcę żyć — dokończył niedosłyszalnym prawie szeptem. Wyraz bezdennego cierpienia opromienił mu rysy.

Bronicz skłonił się głęboko.

Gdy podniósł głowę, dobiegł doń gdzieś z kąta głos szary, zszargany.

— Niech pan już idzie. Będę jeszcze dziś grał.

W przedpokoju zjawiła się Mela. Ujęła skronie rękami, zgarnęła ku licom kędziory czarnych włosów. Wyjrzały z pośród nich oczy, gorejącem pytaniem przepastne.

— Nie masz powodu do żadnej rozpaczy — rzekł szybko z ust do ust.—Tylko mówiłem ci w teatrze, że pojutrze... Nie. Kiedyś później. Aż mi zblednie we wspomnieniu dzisiejszy widok tego człowieka...

— Już rozłożył karty, już do tamtego... niewidzialnego... je rzuca. Jedno, jedno tylko mi powiedz... Czym bardzo wstrętna, że rwę się stąd wszystkiem, co we mnie jasno chce żyć?

— I ty masz słuszność, i on. Od dziś zaczynam wierzyć, że widzimy tylko część tego, co dzieje się naprawdę w naszem życiu.

— Złączenia prawdziwe—powiedziała cichym, płynącym w upojenie głosem. — Przez myśli o innych, przez inne pocałunki, przez niedające się niczem zagłuszyć uczucie, że każde objęcie miłosne jest tylko słabem echem tego, co było lub będzie. Tem idę do ciebie najszczerzej, chociaż ci jestem nie więcej niż jeden kwiat z bukietu. Bo owinęła mnie ostra czujność twojego wzroku, wzroku wędrowca. Boś z wszystkich, których moja tęsknota poznała, pełny największego porywu, że nie kończy się droga... Najszczerzej. I dlatego widziała mnie dziś ona. I dlatego nie będziesz dzisiaj, napozór samotny, niczego się bał.

— Niczego się bał? — spytał, marszcząc czoło, kładąc rękę na klamce drzwi.

Wysoka, płomiennie rozkwitła, trzymając wciąż ciasno twarz w dło-

niach, jakby chciała ukazać mu z niej tylko oczy, w których czarnej toni cała jej wola błyskawicowo się skupiła, wionęła do niego szeptem gorącym:

— Cudzych złych myśli, które mogą sprowadzić na ciebie nieszczęście. I tego, żeś dzisiaj tak blizko, za blizko był tajemnicy.

Gdy zeszedł na dół i stanął na chodniku, wzniósł głowę do oświetlonych okien. Za jednem majaczył kształt, jak senna postać zamglony. Majaczył jak uśmiech nocy.

O tej samej porze Zbigniew przytulał usta do czoła Lili, nad którem błękitna wstążka przepasywała złociste loki.

— Dobranoc, najlepsza. Dobranoc, oczy najsłodsze na świecie. Pod tą przepaską takie jasne jak nigdy. Czemuś wzięła ją dziś do włosów?

— A, to Hanka z jakiejś szuflady wyciągnęła, przymierzała mi przy rozbieraniu i klaskała w ręcę, smarkata, że tak ślicznie. Prosiła na wszystko, żeby nie zdejmować. Więc zostawiłam. Nieładnie?

— Za ładnie. Znowuś inna. Niby najcudniejsza panna. Napatrzeć się nie mogę. A tu nic, nic nie wolno... nawet ust twych dotknąć...

Odstąpił raptownie, usiadł w nogach łóżka, rozgarnął, rozszarpał czuprynę, ściskając silnie powieki. Odetchnął półjękiem.

— No, Zbisiu, chłopaczku... Przed chwiląś jeszcze obiecał, że mężnie przecierpisz. Obiecałeś, gdyśmy się pogodzili, po naszej pierwszej kłótni. Już tylko pięć miesięcy i troszkę...

— Tak, pięć miesięcy, jeszcze— powtórzył bezdźwięcznie.

— A gdybyś naprzykład musiał przez ten czas być na froncie... nie chcę już wojny... ale gdzieś daleko...

— Ach, nie mów. To co innego. Nie widziałbym cię... A tak... Jesteś obok... tylką ręką sięgnąć. Już nic, już nic...

— Więc wyjedź. Mówiłeś mi raz, że chcą cię wysłać do Francji na jakieś tam kursa wojskowe. Wyjedź. To może byłoby najlepiej.

— Właśnie dziś wieczorem w tej sprawie wezwano mnie do inspektora artylerji. Nie zdążyłem ci jeszcze powiedzieć. Prosiłem o czas do namysłu. Gdym wrócił z tobą z teatru, gdyś się kładła, poszedłem do telefonu. Odmówiłem stanowczo. Pojedzie już kto inny.

— I nie poradziłeś mnie się nawet. W takim pośpiechu, w sekrecie...

— Nie mógłbym wyjechać, nie mógłbym za nic, Lili. Oszalałbym z męki. Wolę już tę tutaj.

— Głupi, zazdrosny chłopczyk. A uwierzył mi przecież...

— Uwierzyłem, tak, z całego serca. Przekonałaś mnie, — mówił prędko, jakby wbijając gwałtem w pamięć wyuczone słowa — że on teraz dla ciebie tylko jak jakiś brat duchowy, nie człowiek żyjący, rzeczywisty, jak ja, że ma wciąż nowe kochanki, żeś go przecie dla mnie rzuciła, że ci się więcej podobam...

— Z tym rozburzonym wieńcem czarnych włosów jesteś teraz jak młodzieńczy Rzymianin. Tylko nie chcę, nie chcę, żeby to zadumane cierpienie ponurością twarz ci ocieniało...

— I ja siebie za to nie lubię. Siebie? — zastanowił się nagle i otworzył szeroko oczy, by pełnem ich światłem schwycić uciekające jakieś mignięcie.

Targnął ramionami niechętnym, niecierpliwym gestem.

— I cóż z tego, żem ci uwierzył, — ciągnął ciszej—gdy spokoju mi nie daje głęboko schowana, niejasna myśl... Nie gniewaj się. Ty zrozumiesz. Myśl, że nad tem świętem pojęciem „nas dwoje" jest chimera, bardziej, stokroć bardziej obca dla mnie, niż dla ciebie... Chodzi o te drgnienia marzeń, — rzucił gwałtownym, prawie zadyszanym głosem — które ktoś inny z twemi łączy. O nic, o nic innego...

— O tamto także — szepnęła ledwo rozchylając wargi.

Usłyszał ten szept, runął na kolana, przywarł pożarnie ustami do jej stóp.

— Nie, nie, nie! — powtarzał w drżącej zaciekłości, wchłaniając całą siłą ciepło jej ciała, przesiąkłe snem złotowłosej na fiołkowej łące, w rozpaczliwej obronie przed czemś strasznem bezkształtną groźbą, w zapamiętaniu najżarliwszem.

Aż powiała ku niemu słodka, cicha prośba, jak ton urwany fletu melodyjna, pół dźwiękiem, pół słowem grająca.

Odrzucił w tył głowę, przycisnął do metalowych ozdób na łożu, girlandą splecionych. Pociemniał blask podłużnych źrenic, przed sekundą połyskliwych, jak bronz, w słońcu.

— Ciężko, ciężko tak żyć — wyszeptał głucho. Splótł dłonie, przyłożył do czoła.

— A ja? — odpowiedział mu szept, łzawo uśmiechnięty.—Taksamo się męczę, jak i ty.

Uniosła się powiewnie, wyciągnęła ku niemu ramiona. Skryła zaraz w poduszkach twarz zbielałą, niby kwiat jaśminu.

Oddechy ich drżały zgodnie, żalem skargi bezradnej nabrzmiałe i buntem wiosennym, rwącym się w okowach rezygnacji.

Wstał, nachylił się nad nią, cofnął w dreszczu bolesnym.

— Ty płaczesz!

— Nie patrz! Niemądre łzy. Spłyną wnet bez śladu. Już ich się wstydzę. To z upokorzenia, żeśmy skrępowani... Jak na urągowisko dla kogoś, któryby to widział... Ale musi inaczej być, musi. Twoja Lili jest dumna i męce się nie podda.

Marmurowo groźna stała się twarz jej urocza. Spojrzenie zaświeciło ostrzem strzał błękitnych.

Z zamętu wspomnień wysunął się ku niemu mgławo, widziany w chłopięcych latach w jakiejś wielkiej, sprószonej książce z rycinami, obraz gniewnej bogini, zbrojnej Djany, idącej na łowy, i zziębił go echem wieści kamiennej.

— Moja, moja Lili...

W brzmieniach głosu błądziło utajone, niepewne pytanie.

Słodyczą znów zmiękły jej lica, lazur oczu złagodniał dziewczęco.

— Już dobrze... Rozdrażnił mnie ten wieczór w teatrze, rozdygotały się nerwy. Późno... Idź, połóż się...

— Tam, w drugim pokoju, na wygnaniu...

— Wrócisz z niego, wrócisz...

Odchodził, ociągając się, zatrzymując co moment.

— Drzwi do saloniku zostawię otwarte. I ta mała lampka niech się pali... Nie będzie ci to przeszkadzać?...

— Nie, Bo wiem, że wtedy tobie jakoś raźniej...

— Właśnie... Nie wiem, co to jest—rzekł w skłopotanym wstydzie. — Od pewnego czasu nie mogę zasnąć w ciemnościach...

— Owszem, owszem, niech czuwa to światełko poczciwe. Gdym w nocy raz wstała i, nie chcąc cię budzić, szukała sama tej walerjany, czy niepamiętam już czego, krzyknąłeś tak przeraźliwie... Aż nawet Hanka w swej ciupce na korytarzu słyszała...

— Nie wypominaj... Coś mi się wtedy zdawało... jakby zimnem dotknęło...

— Przecież tutaj tylko nas dwoje. I więcej nikogo.

Dalszy ciąg nastąpi.

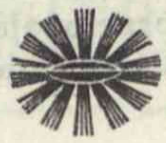

Józef Relidzyński. Nowela.

6)

DAMA PIKOWA.

Nagle Kocio zerwał się, wywracając stojący opodal stoliczek z likierami i zgarniając dla pewności leżącą wciąż na stole bezpańską pulę, poczem, jak szalony, wybiegł z pokoju. Hałas ten oprzytomnił Staszowskiego. Otworzył oczy, potoczył nieprzytomnym wzrokiem po salonie, przetarł silnie czoło, zawołał: — Niech to szlag trafi! — i poszedł w ślady Kocia, ciągnąc za sobą wszczepionego w jego ramię Kotwicza.

Pozostali Zgnilski z Brochwiczem. Pierwszy siedział apatycznie, w dalszym ciągu łapiąc przed sobą niewidzialne muszki. Drugi ukrył twarz w dłoniach, opartych o kant stołu, drżąc nerwowo.

W pewnej chwili Zgnilskim rzuciło coś, jakby przebiegł po nim prąd elektryczny. Jednocześnie oczy jego rozszerzyły się i, spłoszone, pobiegły w stronę drzwi.

Na progu salonu stał straszny służący. Ręce miał skrzyżowane na piersiach i utkwił w futuryście wzrok nieruchomy, dziwnie lśniący.

Zgnilski podniósł się, niby automat i, z błędnym uśmiechem, jak lunatyk, sztywno podszedł ku cofającemu się, nie spuszczającemu z niego magnetycznych oczu Dominikowi, z którym zniknął za drzwiami.

Drzwi zostały cicho zamknięte od zewnątrz na klucz...

* * *

Stefan Brochwicz po dłuższej chwili przyszedł do siebie. Podniósł głowę, otworzył oczy, które odruchowo pobiegły w stronę portretu. Uspokojony, że straszliwa dama pikowa tkwi w ramach, wstał, chwiejnym krokiem podszedł do kontaktu elektrycznego i przekręcił wyłącznik. Zapłonął wielki kandelabr u sufitu, rozbłysły pomniejsze świeczniki na ścianach. Salon zalały potoki białego, jaskrawego światła.

Malarz przeszedł się po pokoju. Sięgnął do kieszeni od kamizelki, wyjął flakonik z kokainą i silnie zaczerpnął w płuca kojącej trucizny. W zaćmionym mózgu przejaśniło mu się. Natknął się na jakąś, do połowy niedopitą, butelkę szampana. Przyłożył ją drżącą ręką do ust i pił chciwie, szczękając zębami po jej szyjce, aż dno przejrzało.

Wreszcie zadzwonił na służącego. Na dzwonek nikt nie wszedł...

Zadzwonił po raz drugi. Cisza... Znów zadzwonił. Dzwonił. Dzwonił. Napróżno...

Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie. Podszedł do drzwi. Nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Były zamknięte na klucz od zewnątrz...

Nagłe, gwałtowne przerażenie. Czegoś strasznego niejasne przeczucie. Skurcz w gardle. Jakby worek z lodem na głowie. Mrówki w kończynach palców. Szczęk grozy na zębach...

Rzucił się w stronę oszklonych drzwi, wychodzących na taras, w tej chwili jednak zatrzymał się z potwornym krzykiem i skoczył w bok.

Z za lustrzanej szyby wlepiały się w niego straszliwe, zielone, fosforyczne oczy... jej oczy... oczy damy pikowej...

Stanął przed portretem. Spojrzał. Dama pikowa wisiała na swojem miejscu...

W przeraźliwej ciszy dzwonił tylko antyczny zegar na kominku...

Brochwicz przyglądał się teraz płótnu tępem spojrzeniem mordercy. Straszliwe, żywe oczy patrzyły na niego, przeszywały go zatrutemi sztyletami, szpik mu z kości wyssysały...

Nagle, gwałtownym ruchem, wydobył z tylnej kieszeni spodni rewolwer, z którym się nie rozstawał, wycelował między przeklęte oczy i wystrzelił. Atoli w tej samej chwili, uderzony kulą, która, odbiwszy się rykoszetem o ramę portretu, trafiła mordercę w samą skroń, zwalił się trupem na wspaniały, dywan perski zlany likierami i zarzucony odłamkami szkła...

Drzwi otworzyły się cicho. Stanął w nich Dominik...

Na palcach, jak kot, bez szelestu, podszedł do leżącego Stefana Brochwicza, z którego skroni jakby się wysnuwała czerwona, jedwabna niteczka, i pochylił się nad trupem ze straszliwym uśmiechem wampira...

Oczy damy pikowej przygasły i cały portret, zda się, nagle przyblaknął...

W powietrzu rozwiewało się coś, niby mgła...

* * *

W kilka dni później chowano równocześnie obu Brochwiczów — ojca i syna (stary, na wiadomość o tragicznej śmierci młodego, padł, rażony atakiem apoplektycznym, i skonał przed przybyciem lekarza).

Majątek zmarłej baronowej Izy Gorlitzowej, stosownie do klauzuli, zawartej w jej testamencie, przypadł szeregowi instytucji społecznych i narodowych.

Willa została narazie opieczętowana.

Po zdjęciu pieczęci wśród zebranych zapanowała wielka konsternacja. Okazało się, że słynny portret nieboszczki w kostjumie damy pikowej znikł ze ściany w sposób tajemniczy. Wisiały same tylko ramy...

Równocześnie znikł z Warszawy dawny służący zmarłej baronowej, stary Dominik. Siłą rzeczy padło na niego podejrzenie o kradzież bezcennego płótna, jakkolwiek niewyjaśnione pozostało, jaką drogą mógł on wejść i wyjść z opieczętowanej willi (pieczęcie były nienaruszone), której ponadto strzegło dniem i nocą kilku specjalnych detektywów...

Rozesłano za nim listy gończe.

* * *

Tymczasem, zanim ludzie zdołali ochłonąć po tajemniczej śmierci młodego Brochwicza i zagadkowem zniknięciu portretu damy pikowej, które oplatał tasiemiec sensacyjnych wprost rewelacji (wśród nich nie brakło i rewelacji z za świata, gdyż, jak wiadomo, stolica nasza, przynajmniej na tem polu, wykazuje znaczne „uduchowienie"!), nerwami Warszawy wstrząsnął grom kilku niezwykłych wypadków. Wypadki te nastąpiły bezpośrednio jeden po drugim, pozostając, jak się zdaje, w ścisłej łączności ze sobą, oraz— z tajemnicą damy pikowej.

Naprzód tedy, młody i obiecujący, jakkolwiek mocno zmanjerowany w kierunku futurystycznym, ponadto nieszczęśliwie a dziedzicznie obciążony wybitną skłonnością do alkoholu, malarz Zgnilski, którego zachowanie się od dnia tajemniczej śmierci młodego Brochwicza, zwłaszcza — podczas jego pogrzebu, zdradzało cechy nienormalne, dostał nagle w „Kresach" gwałtownego ataku furji. Musiano go przewieźć do Tworek, gdzie powiększył miejscową kolonję literacko-artystyczną. W Tworkach stwierdzono u nieszczęśliwego obłęd nieuleczalny, który wkrótce przybrał formę melancholji. Kiedy — niekiedy ofiara futuryzmu i alkoholu miewała jeszcze przebłyski pewnej świadomości. Siadywała wówczas nad szkicownikiem, rysując

jakieś dziwaczne, niesamowite historje, w których nieustannie przewijał się motyw damy pikowej...

W tym samym czasie odbył się w Wilanowie pojedynek na pistolety między dwoma młodymi i obiecującymi oficerami, wynikły na tle jakiejś awantury przy kartach. W pojedynku tym rotmistrz żółtych ułanów, na Staszowie Staszowski, padł na placu, trafiony wprost w serce. Śmiertelna kula przebiła jednocześnie damę pikową, którą ofiara kodeksu honorowego miała na piersi, widocznie, jako *porte-bonheur*...

Niedosyć na tem...

W nieszczęsnej tej partji pokera brał udział, między innymi, młody i obiecujący urzędnik Min. Spr. Zagr., popularny hr. Kocio Piński. Co właściwie tam zaszło, nie można było się dowiedzieć, gracze bowiem zobowiązali się słowem honoru do milczenia. Faktem jest tylko, że hr. Piński, wróciwszy nad ranem do swego numeru w „Bristolu", gdzie stale mieszkał, wystrzałem w usta pozbawił się życia. Obok trupa ofiary hazardu, zamiast listu pożegnalnego, leżała na stoliku nocnym dama pikowa. Karta była znaczona...

W kilka dni potem, ulubieniec dam warszawskich, młody i obiecujący amant, Kotwicz, w połowie sztuki, w której, co wieczór zbierał huczne oklaski, nagle zasłabł. Spuszczono kurtynę, nadbiegł lekarz teatralny, który stwierdził u ofiary powołania atak sercowy. Utalentowany aktor, nie odzyskawszy przytomności, zmarł w garderobie, ściskając w kurczowo zaciśniętej prawej dłoni jakiś przedmiot. Okazało się, że była to zmięta dama pikowa, którą zmarły artysta musiał widocznie mieć w ręku podczas ataku, w scenie tej bowiem—ostatniej jego życia — grano w karty...

Partja pokera była skończona...

* * *

Upłynęło kilka miesięcy. O damie pikowej i jej ofiarach szczęśliwie wreszcie ucichło, gdy pewnego dnia dzienniki krakowskie przyniosły nową sensację, wskrzeszającą upiory niesamowitej partji pokera.

Oto, w czcigodnym grodzie podwawelskim, w podrzędnym hoteliku, zmarł nagle stary dziwak i odludek, który przybył tam przed kilkoma miesiącami z Warszawy i zameldował się jako Djonizy Pik, antykwarjusz. Prowadził on życie ciche i odosobnione, nie zawierał żadnych znajomości, a jedyną jego namiętnością było karmienie gołębi na placu Marjackim i jałmużna. W biurku zmarłego znaleziono zapieczętowaną kopertę, która zawierała pewną sumę na koszta skromnego pogrzebu oraz tajemniczy list, zaadresowany do Dyrekcji Policji. Z listu tego okazało się, że właściwe imię i nazwisko nieboszczyka jest Dominik Strafson i że jest on identyczny z długoletnim służącym zmarłej niedawno w Warszawie baronowej Gorlitzowej, którego napróżno szukano po całym świecie listami gończemi, jako podejrzanego o kradzież jej słynnego portretu w kostjumie damy pikowej.

„Portret ten — brzmią słowa listu—istotnie ja „ukradłem", jeżeli można nazwać kradzieżą spełnienie ostatniej, tajemnej, mnie tylko znanej woli nieboszczki, przyczem, niestety, nic więcej powiedzieć nie mogę. Muszę przemilczeć także sposób, w jaki udało mi się dokonać tej „kradzieży", jak również rzucić zasłonę na osobę moją i życie. A to wszystko — dla względów *wyższych*, ale—nie... politycznych!... Na pociechę naszej policji, którą list mój niewątpliwie zmartwi, a której sprawność jest wszakże znana, pośpieszam nadmienić, że, dzięki pewnym praktykom — powiedzmy... kosmetycznym, których nauczyłem się przed laty w Indjach, udało mi się mój wygląd zewnętrzny tak odmienić (istotnie rysopis zmarłego bardzo mało, jeżeli wogóle, się zgadza z rysopisem poszukiwanego złodzieja portretu damy pikowej. *Przyp. red.)*, że nawet policja angielska mogłaby mnie sto lat szukać i nie znaleźć...

Co do sfałszowanego paszportu, opiewającego na imię i nazwisko Djonizego Pika, to, darujcie mi, Panowie, że, przez wdzięczność za ułatwienie mi w swoim czasie nagłego a koniecznego wyjazdu z Warszawy, tymczasem nie zdradzę Wam adresu odnośnej fabryki oraz nazwisk jej dyrektorów, tembardziej, że policja warszawska jest niewątpliwie już na ich tropie..."

Po kilku obojętnych wskazówkach co do pogrzebu, list kończy się następującem enigmatycznem zdaniem: *„Nie poszukujcie damy pikowej, wróciła ona do talji kart, z której wyszła"*...

Rewizja, przedsięwzięta przez policję krakowską w pokoju nieboszczyka, wykryła w szafie, zwinięte w rulon, wielkie płótno, na którem widniały wyblakłe ślady jakiegoś portretu. Z pewnych szczegółów charakterystycznych oraz podpisu malarza przekonano się, że jest to właśnie poszukiwany po całym świecie „portret damy pikowej", co zostało stwierdzone protokularnie przez znawców.

W jaki sposób obraz tak świetnego pędzla zdołał w krótkim czasie tak zblaknąć i poprostu zaniknąć—nad tem napróżno łamią sobie głowy po dzień dzisiejszy artyści i uczeni, nietylko u nas.

KONIEC.

HANNA ZAHORSKA
(Savitri).

GRUPA.

Jak szmat całunu plac rozległy,
Ostry kamieniem i błotnisty...
Dokoła gmachy z krwistej cegły,
W górze widnokrąg łuną krwisty.

Tłum... W środku rycerz w srebrnej zbroi,
Opromieniony srebrem skrzydeł,
W deszczu pocisków tłumu stoi,
W deszczu zatrutych spojrzeń - szydeł.

Lecą z wściekłością z rąk pecyny,
O srebro dźwięczy ostry kamień,
Już pękły skrzydła, co wznosiły
W kraj fata-morgan i omamień.

U stóp rycerza ugodzona,
Gdy własną piersią go zasłania,
Biała kobieta cicho kona,
Co nie zbawiła ukochania.

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

21) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

Zameldował się u ambasadora z prośbą, aby ten przyjął go koło piątej; chciał bowiem mieć popołudniowe godziny swobodne. Przyszedłszy do domu bardzo późno na śniadanie, zastał słówko od Lydji, że ojciec jej jest gorzej chory i że nie będzie mogła wyjść. Telefonowała kilka razy napróżno.

Sawinski udał się o piątej do ambasady, gdzie zastał Lorda Douglasa. Pogawędził z nim przyjacielsko kilka chwil.

— Czy on kocha Lydję? — zapytywał sam siebie, rozmawiając z zachwycającym młodzieńcem. — Ależ nie; on jej nie kocha. Jest piękną, młodą; podoba mu się; to wszystko. Ale jej nie kocha i nigdy kochać nie będzie. Alboż on jest w stanie wyobrazić sobie, co to jest kochać Lydję?

Uśmiechał się radośnie, tak go ta pewność cieszyła. I czuł w sobie tę radość podczas półgodzinnej rozmowy z ambasadorem.

Wieczorem zatelefonował do Lydji. Książę Wołyński spędził bardzo niedobry dzień. Był rozdrażniony i pragnął się widzieć z Sawinskim jak najprędzej. Czy czwarta jutro byłaby mu dogodną?

Obiecał, że przyjdzie i poprosił Lydję, aby mógł porozmawiać z nią trochę po wyjściu od jej ojca.

— Bardzo chętnie — odpowiedziała Lydja. — Mam dużo kłopotów i chciałabym zobaczyć się z panem.

IX.

OJCIEC I CÓRKA.

Były to najkrótsze dni w roku, i noc uczyniła się zupełna, gdy wprowadzono Sawinskiego do saloniku, z którego już książę nie wychodził wcale. Siedział on w fotelu z szalem na ramionach i z nogami otulonemi pledem. Sawinskiego uderzyła jego nadzwyczajna chudość. Oczy starca gorączkowo błyszczące zapadły głęboko pod łukami gęstych brwi; prawa ręka spoczywająca na poręczy fotela była blada i zaledwie powleczona wyschniętą skórą; wydłużone paznogcie miały w sobie coś trupiego.

— To koniec — pomyślał Sawinski, — utraciwszy go, Lydja nie będzie miała nikogo oprócz mnie.

Zapomniał już o Lordzie Douglasie.

Książę zwrócił się z trudnością do nowoprzybyłego.

— Jestem bardzo rad, że pana widzę — rzekł niskim głosem.

Wstrząsnął nim gwałtowny kaszel. Gdy minął, książę uśmiechnął się boleśnie.

— Już po mnie — rzekł. — Wróciłem z Andaluzji. Szkoda... Taki piękny kraj! Czuje się tam jeszcze Arabję i woń korzeni łechce nozdrza, gdy południowy wiatr podnosi kurzawę na drogach... Jestem bardzo wrażliwy na zapachy, Mikołaju Władymirowiczu. To może z przyczyny mego dużego nosa. Zauważyłeś może, mój drogi, że nie mam rosyjskiego nosa... Któraś z moich babek musiała pokochać jakiegoś Orientala — tam, nad brzegami morza Czarnego, gdzie tak ciepło... Chwilami zdaje mi się, że czuję jeszcze ten upał Wschodu w moich żyłach. Czy pan wierzysz w to, żeśmy już żyli kiedyś na ziemi? Ja wierzę. Byłem Maurem z Korduby nad Gwadalkwiwirem, który latem prawie wysycha... A nasz Puszkin pochodził od Abissyńczyka.

Mówił z trudnością, zatrzymując się chwilami dla przełknięcia śliny... Bredził też poniekąd, monologując, zapomniawszy o obecności Sawinskiego. Odsapnął.

— Tu wszystko cuchnie pleśnią. Żyjemy w zgniliźnie. Newa... ta nigdy nie wysycha. Jest zawsze wzdęta woda, kanalja. To cesarska rzeka, ani słowa, nic podobnego niema na świecie. Ale to rzeka rosyjska; olbrzymia i jałowa płynie przez bagna. Trzeba było warjactwa Piotra Wielkiego, aby nagromadzić te góry kamieni w tych wilgotnych pustkowiach!.. Co za szaleństwo. Ale dla mnie istnieje już jedno tylko cesarstwo; cesarstwo zmarłych. Pamięta pan wiersz La Fontaine'a: *„Et dont les pieds touchaient à l'empir des morts"*. Ach! Ach! Moje nogi już tam weszły i nie wyjdą stamtąd. A ja zwolna idę za niemi.

Zaśmiał się, a ten śmiech sprowadził nowy atak kaszlu. Służący przyniósł herbatę. Książę podał papierosa Sawinskiemu, zapalił drugiego i rzekł:

— Przepraszam pana za moje bredzenia. To powietrze Piotrogrodu mnie zatruło. Ale opowiesz mi pan. co słychać, Mikołaju Władymirowiczu. Ja także mam panu coś do powiedzenia, coś bardzo ważnego... ale za chwilę, jak się napijemy herbaty.

Sawinski zapoznał go pokrótce z położeniem. Nie można było wątpić, że bolszewicy utrzymają sie przy władzy. Układy pokojowe postępowały szybko, odkąd sam Trocki pojechał do Brześcia Litewskiego. W kraju panował najzupełniejszy bezład; ruina przechodziła wszelkie wyobrażenie. A Niemcy wysłali już misję handlową i finansową z hrabią Mirbachem. Stary Lamshof z Deutsche Bank przyjechał również. Sawinski nie widział się z nim jeszcze, ale miał się zobaczyć w najbliższych dniach.

— Co Niemcy uczynią — zakończył — nie wiemy. Gdyby chcieli posłać tu wojsko i zająć Piotrogród któż im przeszkodzi? Będą przyjęci z otwartemi rękoma i urocza pańska sąsiadka urządzać będzie wielkie przyjęcia na ich cześć. Zresztą my wszyscy weźmiemy w nich udział. Lubimy być od strony rękawa, jak mówią Francuzi. To wada narodowa. Ale czy oni podejmą się wyżywić to wygłodzone miasto? I czy mamy sobie tego życzyć? Przyznam się księciu, że nie wiem już czego sobie trzeba życzyć.

— Nienawidzę Niemców bardziej jeszcze niż bolszewików — odpowiedział książę. — Bóg mi oszczędzi tej hańby; nie zobaczę ich... Ale dajmy temu pokój. Dołóż pan szczapę na ogień, o! tę dużą, która niecierpliwie czeka na swoją kolej... A! buchnie szelma płomieniem za chwilę. Przed rokiem była w pięknym, finlandzkim lesie ze swemi siostrami. A teraz będzie grzać stare kości księcia Wołyńskiego; oto, mój drogi, dobrze spełnione przeznaczenie: trochę dymu w powietrzu; trochę ciepła w mojem chudem ciele. To mija jak sen, a potem nic, nic, nic... Ale teraz musimy pomówić poważnie, bardzo poważnie,—dodał wstrząsając głową.

Umilkł na chwilę i Sawinski był prawie przygotowany na to, że niedołężny starzec, przez nagłą zmianę myśli, poprosi go, by mu ułatwił przejazd zagranicę i zacznie snuć plany podróży po Egipcie lub Sycylji. Ale książę wprędce wyprowadził go z błędu.

— Tu chodzi o Lydję — rzekł—o moją najdroższą Lydoczkę. Pojmujesz, mój drogi, że to moja jedyna troska. Taki kwiatek w tem rozwydrzonem mieście!.. Żołnierze i bandyci na ulicach. Lenin i Trocki w Smolnym. Co się z nią stanie, Mikołaju Władymirowiczu!.. Ona

taka ładna!.. Zauważyłeś pan, że gdy idzie, ludzie oglądają się za nią. To piękność, mój drogi. Jestem z niej dumny, bardzo dumny... Ale wszystko to nic w porównaniu z jej duszą. To sama czystość; ani jednej myśli ukrytej; ani jednego zastrzeżenia; wszystko tam jasne, szczere, dobre, szlachetne... Mówię panu, że to jest niezrównane serce, ta moja Lydoczka... I widzisz pan, drżę o nią. Zostanie samą. Ale zaszła nowa okoliczność... pan wiesz, Lydja panu powiedziała, ona panu wszystko mówi. Lord Douglas chce się z nią żenić...

Tu książę westchnął i umilkł dla nabrania oddechu. Na jego twarzy malował się wielki smutek. Sawinski, którego rozmowa zajęła nadzwyczajnie, odkąd Lydja stała się jej przedmiotem, zapytywał siebie z pewnym niepokojem, do czego zmierzał książę Sergjusz.

— Prawdę powiedziawszy—ciągnął dalej starzec—podziwiam Anglików, ale ich nie lubię... To ludzie bez złości, ale twardzi. Nie mają serca, mój drogi, nie mają otwartej, szczerej duszy... Oczywiście nigdybym nie był pomyślał o daniu Lydyi Anglikowi. Ale widzisz pan, Mikołaju Władymirowiczu, ze mną już koniec i Lydya tkwi tu w tem mieście, którego nie chce opuścić. Oczywiście, bagatelizuje niebezpieczeństwa, pan ją znasz, ale mnie nie weźmie na te dziecinne wybiegi... Nie chce wyjechać z mego powodu...

— Ale cóż odpowiedziała lordowi Douglasowi? — zapytał Sawiński, ogarnięty nagle żądzą dowiedzenia się dokładnie, jak rzeczy stoją.

— Ha, mój drogi! — rzekł stary książę, śmiejąc się.—Nic nie odpowiedziała, jak to zwykle dziewczęta... Zbyła go jakimś żarcikiem... Ale Lord Douglas, przyszedł wczoraj przed obiadem i ponowił bardzo nalegająco swoje oświadczyny.—To podobno zachwycający chłopiec. Jak go pan znajdujesz?

— Przepyszny i... bezbarwny! — odpowiedział Sawinski nerwowo.— Jest wyjątkowo piękny, jest młody, jest bogaty... To adonis z książeczką czekową... I to wszystko. Sama myśl, że mógłby zostać mężem Lydji Siergiejewny jest śmieszna.

— Tak, mój drogi, rozumiem, rozumiem, masz słuszność. Ale w dzisiejszem położeniu muszę myśleć inaczej... Pojmujesz pan, Mikołaju Władymirowiczu; to człowiek uczciwy, i to jest dla Lydyi ostoja... Jeśli się z nią ożeni, zabierze ją do Anglji. Ja tu zdechnę; ale już bez troski... usnę sobie pewnego pięknego poranku pogodnie, bo będę wiedział, że mojej córce nic nie grozi... To rzecz najważniejsza, mój drogi. Bez tego niema spokoju.

Mówił głosem cichym, ze spokojną pewnością siebie, jakgdyby nie miał najmniejszej wątpliwości, co do postanowienia, jakie mu powziąć wypada.

— Tylko — ponowił — to nie ja ani pan, którzy tu mamy głos rozstrzygający. To Lydja. A z Lydją nie tak łatwo dać sobie radę. Chociaż, ona jest bardzo rozsądną... Ale w takiej sprawie, ja nie mam na nią żadnego wpływu, bo myśli, że ja się poświęcam.

Nie możemy się zatem porozumieć i to mnie zanadto męczy, Mikołaju Władymirowiczu. Sprzeczaliśmy się wczoraj dosyć długo na ten temat, wreszcie powiedziała mi całkiem poważnie: „Czy ty mnie już nie kochasz, tatusiu, że się mnie chcesz pozbyć? Jeżeli tak, to powiedz, a pójdę sobie". No, mój kochany, ja jestem stary i bezsilny i gdy usłyszałem moją córkę mówiącą w ten sposób, wziąłem ją w objęcia, rozbeczałem się jak dzieciak i prosiłem, żeby została. Cóż pan chcesz, to godne pożałowania, ale cóż na to począć. I, rzecz szczególna, ona także płakała ze mną, sam nie wiem dla czego, ona ma również nerwy chore; my wszyscy mamy nerwy chore, Mikołaju Władymirowiczu. Nic więcej nie mogę już powiedzieć mojej córce w tej sprawie. I dlatego prosiłem, żebyś pan przyszedł... Pan jesteś jedyną osobą, którą Lydja kocha. Tak; ona pana kocha. Wszystko, co powiesz, jest dla niej Ewangelją. Jesteś człowiekiem silnym, Mikołaju Władymirowiczu, a przytem możesz być bezstronnym. Pomów z nią. Nakłoń ją, żeby przyjęła tego Lorda Douglasa (niech go djabli porwą!) powiedz jej prawdę, że jestem umierający, że zostanie samą, że zbyt bolesnem byłoby dla mnie zostawić ją w tem przeklętem mieście. Proszę pana, zrób co potrzeba. Ja nie mogę już z nią mówić. Popłakalibyśmy się znowu. Pojmujesz pan, że to niemądre. Dla tego proszę pana, żebyś mi pomógł. Nakłonisz ją, żeby przyjęła tego Anglika, skoro tak trzeba. Jesteś jej przyjacielem.

Książę umilkł; wzruszenie go dławiło, zaledwie mógł oddychać Zasunięty w fotel wyglądał, jakgdyby zaledwie tliła w nim jakaś iskierka życia.

Sawinski patrzył na niego w milczeniu. Piękna jego twarz zaostrzyła się i postarzała raptownie. Przesunął ręką po czole i wstał.

— Ha! widzę, że trzeba to uczynić. Ma książę słuszność. Dziś o niej tylko trzeba myśleć! Ani książę ani ja nie możemy się nią zaopiekować! Czy książę wie, gdzie ją mogę zastać?

— Dziękuję, kochany przyjacielu, dziękuję — rzekł książę podając mu rękę.—Poczekaj; służący zaprowadzi cię do niej. Moja żona jest na dole; widzisz pan, już tylko frontowe pokoje można ogrzewać... Lydja przyjmie pana u siebie... To nic nie znaczy, pomiędzy nami. Jesteś naszym przyjacielem, naszym jedynym przyjacielem... dziękuję.

* * *

W kilka minut potem Sawinski wchodził do pokoju Lydji, którego nie znał. Była to obszerna komnata, z dwoma oknami, wychodzącemi na wybrzeże Newy. Była też i dosyć ciemna. Elektryczna lampa umieszczona w suficie oświetlała ją słabo, bo elektrownia goniła resztkami węgla; prąd był niedostateczny. Lampa naftowa osłonięta wielkim abażurem paliła się na stoliczku przy sofie, na której leżała Lydja otulona staroświeckim szalem.

Włosy miała rozpuszczone, a gdy wstała na powitanie Sawinskiego, te bujne sploty opłynęły ją poniżej bioder niby płaszcz złocisty. Na ten widok Sawinski uczuł, że serce w nim omdlewa. Nigdy nie widział ją taką i po raz pierwszy podniosła się w nim namiętna żądzą porwania jej w objęcia i zachowania dla siebie samego. I takiej to kobiety trzeba się było wyrzec! Ach! poświęcenie, jakiego wymagał od niego książę Sergjusz, było ponad jego siły. Zatrzymał się na chwilę u progu, walcząc z opanowującem go wzruszeniem.

Ale już Lydja podeszła do niego.

— Proszę przebaczyć Mikołaju Władymirowiczu, że pana przyjmuję w ten sposób. Głowa mnie bolała i rozpuściłam włosy, bo niemogłam znieść ich ciężaru.

Podniosła na niego oczy.

— Ale jakiś pan blady! Co panu jest? Czyś zmęczony? Nie masz pan jakich przykrości? Zaraz przyniosą herbatę. Usiądź pan tu przy mnie na sofie.

Wzięła go za rękę i pociągnęła wgłąb pokoju. Ale Sawinski nie chciał usiąść przy niej na sofie. Zajął miejsce w jednym z foteli, po drugiej stronie stołu. W drugim pokoju, od którego drzwi były otwarte, słychać było kroki niańki Katie, która układała tam bieliznę swojej pani. Raz po raz wchodziła, by parę słów powiedzieć Lydji.

Dalszy ciąg nastąpi.